

Byłem w Polsce – 12

30 czerwca 2018

Pomimo tego małego potknięcia nasz rajd przez Beskid Sądecki i Niski przebiegł jak po maśle i dość szybko znaleźliśmy się u wrót Bieszczad – w Komańczy!

Muszę jednak na małą chwilkę wrócić do Krynicy, bo ostatecznie pojechaliśmy tam, żeby pooddychać prawdziwie galicyjskim powietrzem. Tym dawnym, kiedy to jeździło się „do wód”. Zresztą miałem tu do wypełnienia kolejny punkt z mojej „bucket list” – wizytę w „Patrii” – willi Kiepury!

Rzecz w tym, że „Patria” jest miejscem, gdzie powinno się czuć „przedwojenny luksus”. Jasne, że na dzisiejsze wymagania budynek daleki jest od luksusu, ale marmury, mosiądze, posadzki i boazerie dają ten przedwojenny posmaczek. Wszystko to trąci myszką, bo to co kiedyś było komfortem, dzisiaj jest podstawowym wyposażeniem, no ale chodzi raczej o ducha Kiepury, „Brunetki blondynki” itd., itp.

Dla Galicji Krynica była taką samą wakacyjną świętością jak osławiony Truskawiec, albo w trochę dalszym rzucie – Karlsbad – i chociaż to już było daleko poza Galicją, to jednak cały czas nasze i swojskie, bo ciągle jeszcze cesarsko-królewskie – owiane duchem Najjaśniejszego Pana (oczywiście Franciszka Józefa).

W Karlsbadzie czy raczej Karłowych Warach byliśmy przy okazji naszych wcześniejszych wizyt w Polsce. Piękne, stare uzdrowisko –dziś pełniuteńkie Rosjan, z paroma rosyjskimi kanałami telewizyjnymi, rosyjskojęzycznymi gazetami, sklepami, cerkwiami i wszechobecnym językiem rosyjskim. Za młodych lat nasłuchiwałem się o wspaniałości i wytworności tego kurortu wielu historyjek i opowiadań.

Coś mi z tego w głowie zostało, więc właśnie dlatego pozwoliłem sobie stamtąd na niewinny żart w przedwojennym

stylu. Wyglądał tak:

Zadzwoiłem do mojej dziewięćdziesięcioletniej cioci i gdy podniosła słuchawkę, powiedziałem grzecznie:

– Moje uszanowanie drogiej cioteczce...

Ale ona wpadła mi w słowo:

– Marcin! A skąd ty dzwonicz?

A mnie o to właśnie chodziło, więc odpowiedziałem „z przedwojennym akcentem”:

– Ależ ciotuniu, ja bawię w Karlsbadzie!

Ciocia miała fantastyczne poczucie humoru, więc z udanym zdumieniem krzyknęła:

– W Karlsbadzie?! A cóż ty tam chłopcze robisz? Czyżbyś się zgrywał w kasynie?

Byłem naprawdę zaskoczony, że tak dobrze wczuła się w żart.

Krynica nie miała tak „wielkopańskiej” opinii jak Karlsbad, ale była blisko, była nasza, a przede wszystkim miała wspaniałe wody!

Zaraz też po obejrzeniu „Patrii” poszliśmy na krynicki deptak do wielkiej pijalni wód na zuber, jana i józefa! Wszystkie te wody to było świństwo do obrzydliwości, ale miały być jakoby zdrowe i pomocne na jakieś tam dolegliwości, więc zabraliśmy się do roboty! Kubek, szklana rurka i wolny, dostojny spacer w górę i w dół deptaku. Wieczorem obowiązkowy koncert w pijalni.

Trzy kryniczne filary: deptak, pijalnia i koncert Orkiestry Zdrojowej, zostały zaliczone, a więc nie pozostawało nic innego, tylko ruszyć w drogę.

Za łabową miałem to szczęśliwie zakończone spotkanie z

patrolem milicyjnym, a jeszcze dalej nocleg w Dukli.

Ile razy piszę albo opowiadam o Beskidzie Niskim, zawsze mówię, że przez bardzo długi czas to były najdziksze górskie tereny w Polsce. Nie Bieszczady, ale właśnie Beskid Niski, który wyludnił się po niesławnej akcji „Wisła” w latach od 1947 do prawie 1950 i jakoś nie mógł po tym exodusie przyjść do siebie.

Jeszcze pod koniec lat sześćdziesiątych, gdy chodziłem tam z plecakiem, spotykałem zupełnie puste wioski, jakieś przysiółki i osady, tonące w zdziczałych sadach.

Tam też, w 1972 roku, czasie mojego samotnego rajdu po górach zatrąłem się w straszny sposób jadłem kiełbasianym i z pomocą zupełnie obcych, ale absolutnie świętych ludzi, wyszedłem z tego obronną ręką.

Te i wiele innych myśli przychodziło mi do głowy, gdy zatrzymaliśmy się na nocleg w Dukli, a potem – już na drugi dzień – wjeżdżaliśmy do Komańczy.

Komańcza kojarzy mi się z dwiema rzeczami. Jedna to uwięzienie tu prymasa Wyszyńskiego, a druga koedukacyjne baraki robotnicze zbudowane kiedyś dla młodzieżowych brygad zatrudnionych przy budowie drogi.

Co do prymasa to zawsze się dziwiłem, dlaczego zrobiono z niego prawie męczennika. Klasztor cichy i spokojny, chodził na spacer, okolica piękna... Być może jednak dla tego niezwykle czynnego człowieka ten rok odosobnienia był jakąś męką. Kto wie?

Natomiast tego co w robotniczych barakach wyprawiało się w dniach i nocach po wypłacie, tego nie jest w stanie opisać najzdolniejsze pióro. Mniejsza z tym! Co było, to było!

W każdym razie to były dawne dzieje i o barakach nie ma dziś ani słychu, ani widu. Co innego z klasztorem Sióstr

Nazaretanek, gdzie przebywał Stefan Wyszyński, bo ten ma się dobrze a może nawet lepiej niż kiedyś. Jest tam też podobno izba pamięci, ale nie poszliśmy.

O moich Bieszczadach opowiem nieco później, bo prawdę mówiąc, gdy zobaczyłem budki, w których żądano opłat za wejście na połoniny, doznałem takiego szoku, że chciałem natychmiast zbierać się, jechać do Warszawy i nie zwracając uwagi na konsekwencje, wracać do Kanady.

Na szczęście wyciszyłem się trochę, coś mi wytłumaczono i zostałem, ale nie miałem już do tego serca... Zatrzymaliśmy się jedynie w Ustrzykach Górnych, żeby skosztować pstrąga i fuczek. O tych fuczkach – jakoby bieszczadzkiej specjalności – nigdy w życiu nie słyszałem. Placki kartoflane z kapustą czy coś w tym rodzaju... jadłem „przez grzeczność”, bo cały czas siedziały mi w głowie bilety na połoniny i na turystyczne szlaki w ogóle! Ile trzeba mieć pieniędzy, żeby teraz chodzić po górach??? Przecież to powinna być rozrywka dla biedaków! Dla biednych studentów! Parę konserw do plecaka i hajda w góry!

Gdzie się podziało słynne „rzucę wszystko i pojadę w Bieszczady”??? Hola, hola – nie tak prędko! A pieniądze masz?

Jasne, rozumiałem, że trzeba utrzymywać szlaki, poprawiać ścieżki, malować je na drzewach i skałach i ktoś to musi robić, ale w mojej PRL-owskiej głowie cały czas tkwiło przekonanie, że to jest sprawa „państwa”!

„Państwo” zrobi to i tamto i w ogóle prawie wszystko, a do tego powinno wyleczyć mi zęby, dać lekarstwa, zapłacić za szkołę, wakacje, przejazdy kolejowe itd., itp.

Taki sposób myślenia jest niesłychanie trudny do wykorzenia! I tak właśnie było ze mną!

Ale pomimo tego, że wszystko to sobie jasno tłumaczyłem, było mi jakoś żal! Po raz nie wiadomo który dochodził do mnie

oczywisty fakt, że to są nowe czasy! Inne czasy!

Jednym ze znaków, które świadczyły o tym aż nadto dobrze, był obrazek, który widzieliśmy po drodze. Otóż jakiś czas później jechaliśmy małą, wiejską drogą z Sanoka do Ulucza. Piękna trasa wijąca się wzdłuż Sanu, wśród pachnących pól, wolno człapiących furmanek i rzadko rozrzuconych gospodarstw. I tam wzdłuż drogi szła dziewczyna z ogromną, piękną torbą Michael Kors! Była boso, bo szła poboczem, wśród traw, po miękkiej, miłej, ciepłej ziemi. Była boso, ale na ramieniu wisiała jej wielka, modna torba! Gdyby nie moja Żona – nigdy bym na to nie zwrócił uwagi – ale faktycznie – wyglądało na to, że ta torba Korsa była symbolem zmian!

Trochę później miałem się o tym przekonać jeszcze wyraźniej.

W Uluczu jest przepiękna cerkiew, ale wieś ma krwawą przeszłość, o której za moich młodych lat nikt nie mówił. Wszystko było wtedy zbyt świeże i nowe i niezabliźnione rany ciągle jeszcze krwawiły. Wydarzenia 1946 roku wbiły się w pamięć ludzką i bez żadnej przesady „nienawiść zatrzymała krew pobratymczą”.

Ale tak jak powiedziałem – nikt wtedy nic nie mówił ani nie wspominał. Jeszcze w pięćdziesiątych latach, a pewnie i później wszędzie było pełno broni. Po sąsiadach, studniach, stajniach i drewnutniach trzymano zachowaną wojenną broń, bo „może się przyda”. Nigdy nic nie wiadomo!

Mężczyźni w długich butach, bryczesach i skórzanych kurtkach stali pod kościołem, gospodą czy na rynku i palili. Wszyscy się znali.

Jeśli ktoś coś wiedział, to trzymał dla siebie.

Tak było wszędzie na Podkarpaciu.

Właśnie jechaliśmy przez ten Kraj. Mój Kraj. Tu wszędzie czułem się dobrze, bo wszyscy mówili tym samym, śpiewnym

językiem i oddychali tym samym powietrzem.

Autorstwo: Marcin Braniecki

Źródło: Goniec.net